Hotel „Solec", rok 1987, Warszawa, Powiśle.

Wpadaliśmy tam często, my małolaty, gnojki w zasadzie.
Niby już dorośli, na pewno nie dzieci.
Wszyscy mieliśmy parcie na szybką dorosłość.
Wielu z nas miało już za sobą pierwszego papierosa, ostre chlanie, ucieczkę z domu, brutalne bójki czy pierwszy stosunek z dziewczyną.

Kiedy go poznałem, miałem dokładnie piętnaście lat i byłem dobrym, dzikim chłopcem.
W niedzielę służyłem do mszy, a w tygodniu randkowałem z Kasią, poznając zakamarki jej ciała, najczęściej u niej w domu, kiedy rodzice byli jeszcze w pracy.
Stawiałem włosy na cukier, grałem na gitarze w zespole rockowym i kląłem jak szewc.
Wszedłem do hotelu „Solec" kupić sobie za dolary (wtedy były bony) nowe wranglery.
Był tam spory sklep z zachodnimi towarami, o których marzyliśmy dniem i nocą.
W hotelowym barze, gdzie często urzędowały luksusowe prostytutki, cinkciarze, bananowa młodzież i ówczesny światek przestępczy, pan Janek łoił tego dnia od rana gorzałę z okolicznymi żulami, którym stawiał, jak i sobie, na kreskę.
- Kurwa, chłopaki, ale ona miała uda! – zawołał w chwili, kiedy po zakupie wymarzonych, kultowych spodni, próbowałem przy barze kupić coca colę. Choć byłem szczawiem, prezentowałem się okazale - byłem dość wyrośnięty i dobrze zbudowany, od roku uprawiałem boks i kulturystykę, więc babka za ladą wzięła mnie za mojego starszego brata, którego nie miałem, bo mam siostrę.
Pan Janek wymiatał nielicho.
Tłukł co chwila swoją laską o podłogę i wykrzykiwał coś pod adresem komuny, której jako jeden z niewielu w owym czasie wcale się nie bał.
- Kurwa, panowie, ona mnie dała to, co baba powinna dać mężczyźnie! Z taką kobitą człek wie, że żyje! – wołał pan Janek, ciesząc się jak dziecko, na chwilę zapominając o swej nienawiści do ustroju.
- Była gorąca? – spytał koleś w berecie.
- Jasne.
- Znała się na „tych" sprawach?
- Jak nikt.
- I spotyka się pan z nią dalej?
- Jest moją żoną.

Patrzyłem, jak pan Janek palił papierosa.
Był Bogartem w tej chwili, przynajmniej dla mnie.
Boggie też tak palił w „Casablance".
Pan Janek miał swoją własną odmianę klasy, i choć był człowiekiem z marginesu, na naszej ulicy wielu ludzi szanowało go za jego filmowe role i spuściznę literacką. I za to, że umiał być zwykłym, klawym ziomem.

- Te, mały, chono tu! – zawołał do mnie.
Miał dość stanowczy charakter i zazwyczaj dostawał to, co chciał.
Zwłaszcza, kiedy miał już ostro w czubie.
- Tak? – spytałem.

- Siadaj. Pogadamy.
- O czym?
- O życiu.
- Czyli?
- Miałeś kiedyś kobietę?
- Tak. Mam cały czas.
- I jest ciasna?
- Jest.
- Miałeś ją, kiedy chciałeś?
- Zgadza się.
- To czego się napijesz?
- Piwa.
- Dla niego „Żywiec" – krzyknął do barmanki.
- Panie Janku, oglądałem filmy z panem – rzekłem mocno poruszony tym, że właśnie do mnie zagadał, a wcale nie musiał.
- Pieprzyć to. Prawdziwe życie jest w knajpie i w łóżku z dobrą dupą.

To, co potem

Kiedy mnie już bliżej poznał i po swojemu zaakceptował, piliśmy razem wiele razy, zawsze w barze hotelu „Solec", który był na naszej pięknej ulicy, a teraz nazywa się jakoś inaczej, bo ktoś go kupił, sam hotel zburzono i na jego miejscu stoi w tej chwili osobliwy potworek.
Zawsze mnie dziwiło, że barmani nie sprawdzali, ile mam lat – fakt, że ktoś pił z panem Jankiem, czynił go natychmiast nietykalnym.
Nasza znajomość trwała niecałe dwa lata, ostatnie lata jego życia.
Raz on mi stawiał, raz ja jemu.
Miałem spore kieszonkowe za dobre stopnie, więc inwestowałem w tę znajomość.
Czułem, że warto, bo to nieprzeciętny gość.
Rozmawialiśmy przy piwie o istocie bytu, kobietach, szkole i całym tym gównie.
Twierdził, że czyta w domu Pismo Święte i znał je na pamięć, czym mnie nie raz zaskakiwał.

Często opowiadał o żonie, którą kochał miłością prostą i uczciwą, i narzekał, że zmarnował jej życie.
Jakże drżał mu wówczas głos…
Ale ona nigdy od niego nie odeszła, akceptując go takim, jakim był.
Święta kobieta.
Był szczery do bólu.
Zadawał czasem naprawdę krępujące pytania, wręcz niesmaczne, ale miał w sobie coś takiego, że mu się wybaczało bez szemrania – nie robił tego złośliwie, to nadmiar alkoholu sprawiał, że tracił poczucie taktu.
Bywało, że wprawiał mnie w zakłopotanie, kiedy opowiadał detale ze swego życia seksualnego, które każdy inny człowiek, przemilczałby.
Robił to, kiedy już był na bani – wówczas puszczały mu wszelkie hamulce.
Wtedy też z lubością klepał po tyłkach przechodzące kelnerki.
One kwitowały to uśmiechem, znały jego obyczaje.
I kiedy przypomniał sobie, już będąc trzeźwym, że coś nawywijał, szczerze wszystkich przepraszał i żałował… do następnego razu.
Bluzgał okrutnie, jak ja w tamtych latach.

W jego ustach nabierało to jednak formy wulgarnego artyzmu, czegoś ściśle integralnego z jego sposobem bycia, postrzegania świata, ludzi i siebie.

Raz, w barze, kiedy nie spodobała mu się grupka klientów, typowa zbieranina tępych dupków z dobrych rodzin i ich równie ograniczonych umysłowo lasek, śmiejąca się zbyt głośno, jakby chcieli za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę, wstał, podszedł do ich stolika i wypalił:
- Grzecznie państwa proszę, proszę mi stąd wypierdalać.
Po czym spokojnie wrócił do swojej szklanki piwa i do mnie.

Był tęgim oryginałem – dziś już się tacy nie rodzą.
Razu pewnego, w maju, jeden z nas obchodził hucznie dziewiętnaste urodziny.
Pan Janek wpadł na genialny pomysł, aby iść nocą w trakcie balangi do naszego parku, gdzie stoi ogromny pomnik Sapera, i zakosić stamtąd wieniec, złożony wcześniej przez żołnierzy.
Tak też uczyniliśmy: on, Pele, Szulu, Łysy i ja.
W ten sposób Kapiszon stał się posiadaczem ogromnego, okrutnie ciężkiego wieńca, o średnicy grubo ponad metr, który otrzymał z rąk samego pana Janka.

Śmierdział na kilometr tanimi papierosami, których wypalał naprawdę dużo.
Czasem miał dość osobliwy kaprys, polegający na tym, że odrywał filtr, żeby poczuć większego kopa – palił i pluł, pluł i palił, i mawiał, że tak robią „ruskije matrosy".
Był na swój sposób moim idolem.
Zawsze ciągnęło mnie do naturalnych twardzieli.
Nieraz odprowadzałem go do domu, bo kulał i chodził z trudem o lasce.
Wielokrotnie brał mnie pod rękę, bo chodzenie w stanie „nieważkości" sprawiało mu już poważne problemy – zdrowotnie był ruiną…
Na koniec zawsze obejmował mnie ramieniem i przytulał.
Widok był to nieco osobliwy, bo sięgał mi do ramienia.
Tak zawsze mnie żegnał, jakbyśmy się mieli już nigdy nie spotkać.
I życzył dobrej nocy.
Potem szedł do siebie, podśpiewując wesoło pod nosem.

Miał niesamowite poczucie humoru, którym doprowadzał nas do łez.
I romantyczną, choć kanciastą i najeżoną setką kolców duszę.
Taki był pan Janek.
Dla wielu pijak, degenerat, żul i zakała społeczeństwa.
Nie dla mnie.
Miałem okazję poznać go dość blisko, na tyle, na ile mi pozwolił, i dziś po latach wiem, że takie znajomości zdarzają się raz w życiu.
Ja miałem ten zaszczyt poznać Króla Naturszczyków.
I to nie ja wybrałem go, bo byłem wówczas cienkim w uszach leszczem, ale on mnie.
Zapewne zaważył zwykły przypadek, pijackie olśnienie.
Bardzo lubił pić z młodziakami, sprawiało mu to dziką radochę – może chciał się po prostu w ten sposób odmłodzić?
W towarzystwie był zawsze najstarszy i to on jako senior i autorytet rozpoczynał picie.
Taki mały rytuał – nikt nie zaczął, dopóki on tego nie uczynił.
I gadał do nas jak ojciec, jakby chciał nas ostrzec przed całym syfem tego świata.
Jeśli ktoś oddałby ci w potrzebie ostatnią koszulę, tym kimś byłby właśnie on.

Bez dwóch zadań, prawdziwym szpanem i splendorem w owym czasie było należeć do jego otoczenia i zdobyć zaufanie tego niezwykłego człowieka – w oczach rówieśników uchodziło się wtedy za gościa i kogoś wyjątkowego.
Nie wszyscy z nim pili – niektórych tylko częstował fajkami i na tym się kończyło.
Podejrzewam, że w różnych okresach czasu kręciło się koło niego około piętnastu małolatów, których mocno ekscytowało melanżowanie z nim, „ Polaków rozmowy", swoiste wchodzenie w dorosłość (jego złote rady odnośnie seksu) lub choćby samo jego towarzystwo.
Choć nie należał do przystojniaków, ani do ludzi kochających cały świat za friko, było w nim sporo ciepła i dobroci, ukrytej pod twardą skorupą wulgarności i pozornego prymitywizmu, którym raził zwłaszcza tych, których nie lubił.
O naszej znajomości, rzecz jasna, rodzice dowiedzieli się długo później, kiedy już mogłem im szczerze o niej opowiedzieć.

I kiedy zapił się na naszej ulicy w 1988 roku, wielu płakało za panem Jankiem.
Wśród nich byłem i ja…
Jego młodociany kumpel od picia i rozmów o życiu.
Ktoś przez chwilę bliski, szkoda, że na tak krótko.
Wciąż widzę jego kanciastą twarz i słyszę chrapliwy głos:
- Michał, one nas, kurwa, naprawdę kochają, tylko trza je solidnie zerżnąć.

Taki był pan Janek.
Szczery i prosty.
Miał swoje własne widzenie świata.
I takim go zapamiętam.

Pisząc te słowa, widzę z okna dom, w którym mieszkał.
Choć odszedł, dla mnie wciąż przechadza się po mieszkaniu, pali papierosa i mówi, uśmiechając się przewrotnie: „Baby i chlanie to najlepsze rzeczy, jakie Stwórca dał nam w prezencie"…

14 września 2012

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 20.09.2012 07:31

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.